

Wojciech T. Pyszkowski

ROK

OBWIESZCZENIE

o wprowadzeniu stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa

Kierując się potrzebą zapewnienia warunków normalnej działalności państwa i obywateli, w celu stworzenia warunków normalnej polityki opartej na sile i jedności państwa oraz przywrócenia należnej dyscypliny społecznej, a także mając na względzie bezpieczeństwo, możliwość sprawnego funkcjonowania władzy i administracji państwowej oraz grup i osób narodowe, = Rozkazem na podstawie art. 12 ust. 2 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej - Rada Państwa wprowadziła stan wojenny.



Wojciech T. Pyszkowski

ROK

© Copyright by
Wojciech Pyszkowski & e-bookowo

Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-306-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

ROZDZIAŁ I

„Anna leżała z zamkniętymi oczami. Od dłuższej chwili usiłowała zasnąć, ale strach przed zapadnięciem w niebyt paraliżował ją.

W ogóle zasypianie sprawiało jej w ostatnim czasie ustawiczną trudność.

Starła się gasić lampę możliwie najpóźniej, ale natłok myśli rozbudzał ją na tyle, że do późna w nocy przewracała się z boku na bok. A kiedy już, wydawać by się mogło, zdołała uporać się z krnąbrnym jestestwem, elektryzował ją nagły chłód ściany, przeciąg nie wiadomo skąd, lub trzaśnięcie w sąsiednim pokoju. Zwlekała się wtedy z tapczanu i po omacku, bez pantofli, sunęła do kuchni. Otwierała skrzypiące drzwi i zamierała w bezruchu, odwlekając moment włączenia światła. Bała się nagłego uderzenia jasności, która wdzierała się pod powieki jak obezwładniający ból. Zaciskała je wtedy mocno i odczekawszy chwilę rozwierała nagle, nie widząc nic i poddając się torturze, która utwierdzała ją jednak w przekonaniu, że przecież w dalszym ciągu żyje. Były to jakby narodziny na nowo – po raz setny, tysięczny, po raz nieskończony.

Banalny fakt wylaniania się z ciemności dobrze znanych sprzętów uspakajał ją. Wyzwał oddech prowadzący do zapalenia gazu, ustawienia na nim czajnika i wyjęcia szklanki z szafki. A potem, jakby zbliżając się do kresu zaprogramowania, zmuszał do wysunięcia spod stołu stolka.

Anna siadała z westchnieniem ulgi. Oczy, przyzwyczajone już do światła, rejestrowały blask gazu, nie pozmywane naczynia, klaczki kurzu na podłodze.

«Trzeba w końcu posprzątać», myślała leniwie. Zawsze starała się dbać o porządek i czystość tam, gdzie

przyszło jej przebywać. Kiedyś tego rodzaju «pomieszczenia» nazywała domem lub mieszkaniem. Kiedyś – to znaczy wtedy, kiedy wierzyła, że może myśleć o jakiegokolwiek przyszłości. Kiedy rosła, rozwijała się, uczyła, a potem – już dojrzała – wchodziła w życie. Kiedy tworzyła własne szczęście...

Szczęście?...

Anna zastanawiała się nad znaczeniem tego słowa – czy jest ono odpowiednie dla określenia realizowanych przez człowieka pragnień? Czy oddaje sens dążenia ku ciągłemu, maniakalnemu spełnianiu obłędnej potrzeby ułatwiania sobie życia? Bo czyż szczęście nie jest właściwie najzwyklejszym w świecie egoistycznym samozadowoleniem?

Zwykle w tym momencie Anna przerywała tok myślenia. Czyniła to rozmyślnie, mimo że chętnie zastanowiłaby się jeszcze i nad tym, czy właśnie to «szczęście» stało się w końcu i jej udziałem. Bo jeśli nazwać w ten sposób przeżycia ostatnich miesięcy, wiodące nieuchronnie ku wiadomemu zakończeniu, to...

Zresztą Krzysztof zawsze przestrzegał ją przed nadmiernym filozofowaniem. Kiedy widział, jak Anna robiąc na drutach zamiera w bezruchu, lub czytając książkę podnosi niewidzące oczy, zwykł mówić:

– Anno, obudź się. Otrząśnij się z tych głupich myśli. Znowu jesteś nieobecna. Zrozum, że to do niczego nie doprowadzi.

– Ależ Krzysztof... – protestowała wtedy słabo.

– Anno. – Jego głos brzmiał sucho i autorytatywnie. – Anno, zajmij się czymś innym. Potrzebujesz więcej ruchu, więcej powietrza. W ten sposób nigdy nie powrócisz do zdrowia.

To zabawne – mówił tak, doskonale zdając sobie sprawę z jej stanu. Czy rzeczywiście ludził się, że jego natrętność,

zniecierpliwione rady mogą w czymkolwiek jej pomóc?

– Anno, ubierz się, pójdziemy na spacer. – Wstawał i zdecydowanym ruchem odrzucał «Przegląd Sportowy», «Życie Warszawy» czy jakąś inną gazetę. Nie potrafił jednak ukryć niezadowolenia z faktu, że oto tak spokojny wieczór ulega zburzeniu przez nieodpowiedzialną, nieznośnię chorą kobietę.

Anna łagodnie chwyciła go za rękę:

– Krzysztof, daj spokój. Pada deszcz, jest zimno. – Wynajdowała niezliczone preteksty, żeby uwolnić się od niechcianej, wymuszonej opieki. Robiła to spokojnie, nie czyniąc mu wymówek, że przecież to on ją denerwuje i że w gruncie rzeczy nigdy nie potrafił jej zrozumieć...

To dziwne, że ludzie, blisko żyjąc ze sobą, mijają się na co dzień. Ich istnienia przebiegają po dwóch liniach równoległych, które czasem – tylko czasem – wbrew zasadom geometrii krzyżują się we wzajemnej współzależności...

Anna chyliła głowę, już niemal zasypiając. Chłodny początkowo blat stołka emanował teraz ciepłem, mięknąc i otulając, jak wygodny fotel. I zazwyczaj w tym momencie, kiedy ta półjawa owocowała już obrazami bez związku, w rozleniwiającą ciszę wdzierał się narastający szum. Początkowo przytłumiony, potem coraz głośniejszy i burczący. Anna odczekiwała jeszcze moment i nie ruszając się z miejsca przekręcała kurek gazu. Odmierzonym, spokojnym ruchem wsypywała do szklanki herbatę i zalewała ją wrzątkiem, mieszając kilkakrotnie. Nerwowe pragnienie szybko zmuszało do pierwszych parzących łyków.

Blogie ciepło rozlewało się po całym ciele. Jego uzdrawiająca moc pozwalała na chwilę zapomnieć o bezsennych nocach i o czającej się jak zły pies chorobie.

Anna brała szklankę z niedopitą herbatą i wlokła się do łóżka. Majaczyło białą pościeli, szerokie i pozornie

zachęcające. Nabyty przez lata odruch kazał jej kłaść się ostrożnie, niemal na samym brzegu. Odruch niepotrzebny, bo przecież dzisiaj nie chroniący już nikogo przed gwałtownym przebudzeniem.

Przesuwała się więc śmielej na środek tapczanu i odstawwszy szklanę zamykała oczy.

* * *

Także i teraz Anna usiłowała zasnąć. Nie był to jednak wieczór, nie była też noc ani wczesny poranek. Pora dnia nie grała już żadnej roli. Ostatnio Anna rzadko wstawiała z łóżka i prawdę mówiąc nie widziała już sensu w dziele- niu doby na nic nie znaczące fragmenty. Pozostawiała to ludziom żywym.

A ona? Czy ona jest jeszcze żywa? Czula, oddychała, myślała, więc chyba jeszcze – tak, mimo że pogodziła się z faktem czającej się blisko śmierci. Wisielczy optymizm kazał jej uparcie czepiać się nitki nadziei. Działo się to wbrew rozsądkowi i opinii lekarzy. Co prawda, lekarze zawsze twierdzą, że trzeba mieć nadzieję, że człowiek, który podda się chorobie, przegrywa, jednak jej przypadek określili jednoznacznie. Nie powiedzieli tego wprost – o nie. W tej materii wierni byli całej obłudzie humanitaryzmu. Robili dobrą minę do złej gry, pochylali się przyjaźnie, zalecali spokój i lekarstwa, potrzebne jak umarłemu kadzidło – Anna uśmiechnęła się mimo woli przy tym porównaniu. Nie była pewna, czy ten uśmiech odmalował się na jej twarzy, ale chyba wygładził zaostrzone rysy.

Już od dłuższego czasu nie brała do ręki lusterka. Jak długo? Może jedną dobę, może parę tygodni, ale z pewnością od chwili kiedy stwierdziła, że nie jest już w stanie podobać się komukolwiek. Jednak resztki kobiecej zalotności tkwiły w niej nadal. Przecież była młoda, miała prawo do gładkiej, zadbanej twarzy, do starannie nałożonego maki-

jażu i do zaciekawionych męskich spojrzeń.

Nie otwierając oczu sięgnęła więc do półki. Palce dotknęły chłodnej, śliskiej powierzchni, zsunęły się nieco niżej i już miały ująć metalowy uchwyt lusterka, kiedy nagle uklucie w piersiach kazało jej cofnąć rękę.

Ból zaatakował z żelazną konsekwencją, bezwzględnie i precyzyjnie. Uciążliwy znajomy, dający o sobie znać wtedy, kiedy, zdawałoby się, można o nim zapomnieć.

Anna wyprężyła się i zacisnęła wargi, aby nie jęknąć. Czekala, aż minie atak, który dotychczas zawsze ustępował i zostawiał ją, znękaną i wycieńczoną po nierównej walce. Ból jednak tym razem nie słabł. Obejmował ją całą, tamując oddech i paraliżując wolę. Ścisnął żelazną obręczą płuca i gardło. Anna chciała krzyknąć, zawołać o pomoc. W nieludzkim wysiłku zdołała tylko otworzyć powieki i ostatnim obrazem, jaki zarejestrował jej mózg, była sylwetka mężczyzny, śpiącego w głębokim fotelu.”

KO...

Andrzej zawahał się i odłożył pióro. Czy rzeczywiście to już koniec? Przekartkował gęsto zapisany zeszyt, czytając ze szczególną uwagą ostatnich parę stron.

Zżył się z bohaterami opowieści. Tworzył ich postacie systematycznie, w codziennej ciężkiej pracy. Rozumiał jednak doskonale, że bez tego nie osiągnąłby nigdy zamierzonego efektu. Czy jednak efekt ten był godny włożonego wysiłku?

Ostatnie wydarzenia odciągnęły uwagę Andrzeja od pracy. Zwłaszcza wypadki poprzednich dwóch dni sprawiły, że czuł się kompletnie rozkojarzony.

Przeczytał jeszcze raz scenę śmierci Anny. Nie był z niej zadowolony. Opisywać śmierć jest szczególnie ciężko, zwłaszcza gdy nigdy nie było się przy niej obecnym. Musiał polegać na własnej wyobraźni, która była w tym

wypadku szczególnie oporna. Kilkakrotnie z trudem opanowywał chęć zaniechania rozbudowanego opisu i załatwienia całej sprawy paroma zdaniami w rodzaju: „Anna umarła. Stało się to pewnego wczesnego popołudnia...” lub: „Anna umarła po południu. Śmierć zabrała ją młodą i pełną chęci życia.”

Opanowywał też chęć pozostawienia Anny żywej. Byłoby to bardzo romantyczne i lekkostrawne. Chora kobieta dochodzi jednak do siebie, pokonuje słabość i rozpoczyna na nowo kłeczenie przyszłości. Andrzej świadomie użył słowa „kłeczenie”, ponieważ budowanie przyszłości na nowo było w przypadku Anny z góry skazane na niepowodzenie. Dlatego w ostatecznym rozrachunku Annę uśmiercił i zrobił to w taki właśnie sposób – może nieudolnie i zbyt rozwlekłe, ale zgodnie z hipotetyczną rzeczywistością.

Ujął więc z powrotem pióro i zdecydowanym ruchem dokończył przerwany wyraz –

...*NIEC*

Koniec.

Odetchnął z ulgą. Zamknął zeszyt i wsunął do szuflady biurka. Czeką go jeszcze przepisywanie na maszynie, ale zrobi to później, sukcesywnie, kiedy trochę odsapnie. Andrzej bowiem postanowił teraz przede wszystkim odpocząć. Pozostało mu kilkanaście dni urlopu, które obejmą nadchodzące Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok.

„Może wyjadę w góry?” – pomyślał. Zaraz jednak zdał sobie sprawę z tego, że przecież nie jest w stanie zmusić się do wystawiania w kolejkach po uzyskaniu zezwolenia na opuszczenie miasta. Zresztą nie miał do kogo wyjeżdżać. Ciotka, która mieszkała poza Warszawą, umarła rok temu. Część znajomych siedziała za granicą, a część prawdopodobnie przyklapnęła w odosobnieniu, przerażona i dezorientowana rozwojem wydarzeń.